ROZMAITOŚCI.

Dnia 16. Stycznia. № 3. Roku 1856.

RIK — TIK — TAK.

(Powieść z życia flamandzkiego.)

(Dalszy ciąg. Ob. Nr. 1. 2. Rozmaitości.)

III.

W miasteczku Westmal, odległém o cztéry mil od Antwerpii, znajdowała się mała kuźnia, w której zajmowało się cztérech ludzi, majster i czeladź, różnemi robotami kowalskiemi. O ile dozwalał hałas pilników i młotów, rozmawiano o Cesarzu Napoleonie i jego wielkich dziełach. Jeden z robotników, który u lewéj ręki niemiał dwóch palców, zaczął właśnie opowiadać ciekawą historyę z czasów kampanii włoskiéj, gdy dwóch nieznajomych jeźdzców zatrzymało się przed kuźnią i jeden z nich zawołał:

— „Héj, przyjacielu! podkujcie mi konia!“ — Robotnicy przypatrywali się z ciekawością dwom nieznajomym, którzy pozsiadali z koni. Łatwo można było poznać, że należeli do stanu wojskowego, gdyż jeden z nich miał na poprzek twarzy głęboką bliznę, a u klapy czerwoną wstążeczkę; drugi zaś, chociaż był również ubrany po cywilnemu, zdawał się być podwładnym piérwszemu, gdyż przytrzymał konia jego za uzdę i zapytał:

— „A na którą nogę, kapitanie?“

— „Na lewą, z przodu, poruczniku.“

Podczas gdy jeden z robotników przygotowywał konia do podkucia, wszedł kapitan do kuźni, wodził dokoła badawczym wzrokiem, i brał do rąk kolejno rozmaite narzędzia, jak gdyby starał się je rozpoznać. Wnet też musiał znaleźć istotnie to, czego szukał, albowiem trzymając w jedném ręku ciężkie obcęgi a w drugiém młotek, przypatrywał się im z jakimś niepojętym uśmiechem, co tak dalece zdziwiło robotników, że zaczęli spoglądać na niego w osłupieniu.

Tymczasem włożono żelazo do ognia, miech zaczął dąć, i pałające iskry tryskały z czerwonych węgli. Robotnicy stali w pogotowiu, ręce oparte na ciężkich młotach: sam kowal wyjął żelazo z ognia, i huk młotów bijących w takt rozległ się po kuźni.

Wesoła ta muzyka zdawała się żywo wzruszać kapitana; słuchał jéj z pro-

mienném obliczem, jak gdyby zachwycająca jaka melodya uderzyła nagle słuch jego. Ale w chwili, kiedy miano zdjąć podkowę z kowadła, by ją przymierzyć do nogi konia, przebiegł jakiś wyraz dumnéj pogardy po jego twarzy; wziął z rąk kowala obcęgi, które trzymały podkowę, włożył ją napowrót w ogień i zawołał:

— „To nie tak! Czy nie umiecie robić zgrabniejszéj podkowy? Daléj żwawo, moje dzieci! Niech zadmą miechy!“

Podczas gdy z uszanowaniem wykonywano rozkazy jego, i każdy spoglądał na niego z wzrastającém zadziwieniem, zdjął nieznajomy swój surdut i obnażył żyłaste swe ręce. A gdy żelazo rozpaliło się do białości, położył je na kowadle, pochwycił największy młot, i przybrawszy postawę kierującego robotą rzekł wesoło do robotników:

— „Baczność, przyjaciele! Ja daję takt; zrobimy podkowę, jakiéj niepowstydziłyby się nawet konie Cesarza. Daléj żwawo i trzymajcie się piosnki:

Rik — tik — tak
Rik — tik — tu!
Daléj do młota,
Kujmy co tchu!
Niech stal czerwona
Iskrami miota,
Kto ją pokona
Ten godzien snu!
Rik — tik — tak
Rik — tik — tu!

Rik — tik — tak,
Rik — tik — tu!
Choć rękę zboli —
Kujmy co tchu!
Niech kruszec twardy,
Gnie się do woli
Kto z złota hardy,
Niegodzien snu!
Rik — tik — tak,
Rik — tik — tu!

— Doskonale! Przypatrzcież się téj podkowie!“

Robotnicy oglądali podkowę z otwartą gębą i w osłupieniu. Tylko sam kowal zdawał się myśléć o czém inném, i kiwał głową od czasu do czasu z wyrazem powątpiewania. W końcu zbliżył się do nieznajomego, który przywdział już napowrót swe suknie; ale jakkolwiek przypatrywał mu się z wielką uwagą, niezdawał się przypominać sobie jego rysów.

Wkrótce był koń podkuty i stał w pogotowiu przed kuźnią oczekując swego jeźdźca. Kapitan uściskał serdecznie ręce kowalowi i każdemu z robotników i położył dwa napolendory na kowadle mówiąc: „Jeden dla mistrza, jeden dla robotników. Uraczcie się za moje zdrowie!“ — Poczém wskoczył na siodło i z towarzyszem swym u boku puścił się w głąb miasteczka.

Zaledwie dwaj nieznajomi znikli za węgłem najbliższego domu, zwrócili się robotnicy równocześnie do mistrza i utkwili w nim wzrok pytający.

— „Kapitan! kapitan!“ — mruknął jeden z nich; — „ja powiadam, że jegomość ten jest kowal, a przynajmniéj był nim kiedyś. Jestem pewny, że ty go znasz, mistrzu!“

— „Prawdę mówiąc“ — odrzekł mistrz po chwili namysłu, — „znałem w życiu mojém tylko jednego człowieka, który

potrafił z równą zręcznością ukuć tak lekką i tak piękną podkowę. I jeźli się niemylę, ów kapitan nie jest-to nikt inny, tylko Karol van Milgem, którego zwykle zwano Rik — tik — takiem.“

— „Co?! to miałby być ów wesoły kowal z Westmal?“ — rzekł jeden z robotników; — „słyszałem bardzo wiele o Karolu Rik — tik — taku; ale to był braciszek karczemny, pijanica niesłychany, który był w stanie całe miasteczko przewrócić do góry. Kapitan zaś zdaje się być wcale porządny człowiek. To być niemoże!“

Na te słowa zasiadł mistrz na kowadle z miną wskazującą wyraźnie, że ma zamiar opowiadać, i rzekł do robotników:

— „Moje dzieci, zarobiliśmy dziś dziesięć razy tyle, co zwykle na jeden dzień, możemy więc wypocząć do południa. Posłuchajcie, co wam opowiem, i sądźcie sami, jak wam się podoba. Ten kapitan jest-to niezawodnie Karol van Milgem. Przed szesnastu niemal laty mieszkał tu, w téj saméj kuźni, w któréj się znajdujemy, młody człowiek, mający za żonę najpiękniejszą wieśniaczkę w całéj okolicy. Oboje kochali się tak dalece, że całe miasteczko podziwiało to szczęśliwe stadło. Karol van Milgem, gdyż on to był, pracował od dnia do nocy, aż pot lał mu się z czoła, a przyjaciele nazywali go „Rik — tik — takiem“, gdyż cały dzień bijąc w kowadło śpiewał tę wesołą piosnkę, którą kapitan umié tak dobrze. Zawsze był nadzwyczaj wesoły, zabawny w odpowiedziach, i żadne słowo niewyszło z ust jego, z którego nieuśmianoby się serdecznie. To téż niebyło nikogo w całém miasteczku, coby był tak powszechnie lubiony jak Karol, wesoły kowal. Karol był już od kilku lat żonaty, a niemiał jeszcze dzieci, aż oto spostrzegł nagle, że wkrótce zostanie ojcem. Radość jego niemiała już wtedy granic; piosnka Rik — tik — tak brzmiała od rana do wieczora, i ludzie zaczynali się obawiać, żeby niestracił głowy, tak dalece nieposiadał się ze szczęścia. Nadszedł wreszcie ów dzień upragniony. Karol został ojcem, pięknéj, lubéj córeczki, ale niestety biedna żona jego niepodźwigła się już więcéj! Pochowano ją na naszym cmentarzu; znacie zapewne ten grób z małym krzyżem żelaznym, tam spoczywają jéj zwłoki. Od téj nieszczęsnéj chwili Karol zmienił się zupełnie; młot jego spoczywał obok kowadła, zaledwie dwa razy w tygodniu rozniecał swój ogień, i zaczął się napijać, jak gdyby pragnął ukrócić sobie życie pijaństwem. Wszystkie piosnki jego poszły w zapomnienie, i wiódł życie tak szkaradne, że stał się zakałą miasteczka. Gdy wrócił do domu pijany, z zawróconą głową, chwytał się do roboty jak szalony; ale sługa, czuwająca nad jego dzieckiem, znała niezawodny sposób na to, by go uspokoić. Sadzała mu małą córeczkę na kolanach, i choćby najbardziéj był pijanym, widok dziecięcia uspokajał go natychmiast jakby siłą magiczną. Wtedy uśmiechał się znów wesoło jak niegdyś, sadzał dziewczątko jak na konia na swojéj nodze, huśtał je i śpiewał każdą razą z nową przyjemnością wesołą piosnkę Rik — tik — tak.

Żeby Karol mógł kiedykolwiek stać się zupełnie złym, temu niewierzyłem nigdy; każdy wiedział przecież, że tylko przedwczesna śmierć ukochanéj małżonki była przyczyną jego zgryzoty i pijaństwa, i każdego téż razu, gdy musiał przechodzić przez cmentarz obok żelaznego krzyża, choćby nawet tak dalece był pijany, że niemógł utrzymać się na nogach, płynęły rzęsiste łzy z jego oczu w obec całego świata. Dla tego téż litowano się nad nim wielce i sąsiedzi mieli staranie o jego dziécięciu, o czém on jednak niewiedział. Życie takie, trwało prawie trzy lata, aż naraz zaskoczyła go ciężka słabość i przykuła na długi czas do łoża. Przyjaciele jego, przy pomocy plebana, potrafili tak dalece skruszyć jego serce, że zdawał się być zupełnie uleczonym z swego nałogu do pijaństwa, ale za to opanowała inna myśl jego duszę. Chciał opuścić miasteczko, gdzie mogiła jego żony zbyt często wpadała mu w oczy, i niemówiąc nikomu ani słowa, gdzie zamyśla się udać, sprzedał memu ojcu swoją kuźnię, jaka była, wywiózł pewnego dnia w step swoją córkę mającą wtedy cztéry lata, i niepokazał się więcéj, a my odtąd niemieliśmy żadnéj wiadomości, ani o nim ani o jego dziécięciu.“

— „Ów kapitan musi być *Rik — tik — tak*, to niepodlega żadnéj wątpliwości!“ — zawołał jeden z robotników.

— „Niezawodnie jest to van Milgem,“ — odrzekł mistrz poważnie. — „Uważałem jak brał do rąk rozmaite narzędzia; wszystko to, co mój ojciec lub ja dokupiliśmy, kładł obojętnie napowrót; to zaś, co pozostało jeszcze z kuźni Rik — tik — taka, oglądał z widoczném wzruszeniem. Zapewne i was to uderzało, jak również jego akcent wiejski, jego zręczność do młota, a nade wszystko jego piosnka!.... Tak, tak, to ptaszę z naszego gniazda..... Ktoby uwierzył? kapitan!....“

Podczas gdy w kuźni rozprawiano w ten sposób o Karolu Rik — tik — taku, dwaj nieznajomi zajechali do oberzy pod „Koroną“, oddali swe konie do stajni i posilili się skromném śniadaniem; poczém kapitan opuścił sam oberzę, udał się pieszo główną ulicą i za kilka minut zapukał do drzwi sekretarza gminy. Wpuszczono go do małéj ubocznéj izdebki, gdzie czekał dość długo, nim sekretarz powrócił z pola i otworzywszy drzwi od głównéj sali, rzekł z głębokiém, ceremonialném uszanowaniem:

— „Pan kapitan van Milgem..... najniższy sługa pana Dobrodzieja.... przepraszam bardzo....“

Kapitan przerwał jego grzeczności ścisnąwszy go czule za rękę.

— „No i cóż, mój przyjacielu;“ — zapytał żywo — „jak stoją rzeczy? Znalazła się moja córka?“

— „Nie, panie kapitanie, jeszcze nie;“ — odrzekł smutnie sekretarz.

— „Nieszczęście!“ — zawołał oficer uderzając się ręką w czoło — „czyż trzeba wyrzec się wszelkiéj nadziei?“

— „Panie kapitanie,“ — przemówił sekretarz — „racz pan posłuchać moich wyjaśnień, a przekonasz się, że nietylko niepotrzebujemy tracić wszelkiéj nadziei, ale nawet prawdopodobnie jeste-

śmy już bardzo blizko celu naszych poszukiwań. Podczas ostatniéj bytności u mnie zostawiłeś mi pan dosyć pieniędzy, bym nieszczędził niczego w mych poszukiwaniach, i chciéj pan wierzyć, żem nic niezaniedbał, by stać się godnym pańskiéj życzliwości i zasłużyć tych tysiąc franków, które mi pan przyrzekłeś. Owoż co się dowiedziałem. Gdy Karol van Milgem (skłonił się sekretarz nizko przed kapitanem) opuszczał Westmal z swém dziécięciem, wówczas cztéroletniém, niezwierzył się nikomu, gdzie miał zamiar się udać, a może i sam tego niewiedział. Dopiéro od pana dowiedziałem się, i poszukiwania moje potwierdziły to, że w Welde, powyżéj Turnhout, powierzył swe dziécię pewnemu wysłużonemu nauczycielowi, imieniem Piotr Driessens, który mieszkał z swoją żoną za wsią w odosobnieniu i na ustroniu. Karol van Milgem dał opiekunowi swego dziécięcia małą szkatułkę żelazną, w któréj znajdowała się suma uzyskana z sprzedaży kuźni, a którą staruszkowie ci upoważnieni byli otworzyć w razie potrzeby, ażeby ani dziécięciu ani im samym niezbywało na niczém. Karol van Milgem udał się potém do Holandyi, gdzie podług powszechnego mniemania miał przyjąć służbę pod rozkazami francuskiego jenerała Pichegru. To pewna, że od tego czasu niedowiadywał się wcale o swoje dziecko; tak mi mówili ludzie w Welde, którzy znali Piotra Driessens."

— „Ludzie ci niewiedzą, co mówią, mój przyjacielu" — odrzekł kapitan przerywając mu; — „ja pisałem dwa razy z Egiptu, dowiadując się o moją córkę. Listy moje pozostały bez odpowiedzi, a gdy po śmierci Klebera powróciłem do Francyi i dozwolono mi wreszcie udać się do mego dziécięcia, gdy z bijącém sercem minąłem step i stanąłem w miejscu, gdzie zostawiłem moją córkę, ujźrzałem przed sobą tylko kupę popiołu. Com uczuł na ten okropny widok, tego niepotrzebuję panu powiadać; pan masz także dzieci..... Szczęściem dowiedziałem się od kilku wieśniaków, że Piotr Driessens wyratował się z pożaru z małą Moniką i puścił się w świat na żebry."

— „To prawda, panie kapitanie; żona Piotra Driessens spaliła się; on sam tylko z małą Moniką na plecach i żelazną szkatułką pod pachą, wyszedł zdrowy i cały z płomieni. Potém otrzymał list upoważniający go do zbiérania jałmużny i puścił się w drogę z swém przybraném dziécięciem, szukając pomocy i wsparcia u współrodaków. Wiem z pewnego źródła, że go widziano z małą Moniką po żebrach w Ravels, Mexplas, Beerse, Arendonck i Rethy; ale ostatnie miejsce opuścił już sam jeden; potém widziano go bez Moniki w Meerhout, Otmen, Balen i Moll, gdzie zachorował i umarł. Dopiéro przedwczoraj dowiedziałem się o miejscu i dniu jego śmierci; sekretarz gminy w Moll przysłał mi dokument potwierdzający te szczegóły, i dodaje, że nieznaleziono nic pomiędzy rzeczami Piotra Driessens, coby mogło naprowadzić na ślad dziécięcia, którego jak wié, szukam bez przestanku. Również niewspomina nic o żelaznéj szkatułce. Czy niesądzisz pan, panie kapi-

tanie, że Piotr Driessens był zdolny wyrządzić krzywdę pańskiemu dziecku i opuścić je gdzie na stepie lub wśród lasu?“

— „O! nigdy w świecie!“ — zawołał kapitan; — „to był mój nauczyciel szkolny i pozostał zawsze mym najlepszym przyjacielem. Gdym przybył do niego z mojém dziécięciem, i oświadczył mu, że mam zamiar udać się do Holandyi i wstąpić do wojska, prosił mię sam o to, bym zostawił u niego małą Monikę tak dla jego rozrywki na starość, jako téż dla dobra dziécięcia, które i tak byłbym musiał powierzyć obcym rękom. Jestem pewny, że w najgorszym razie musiał on Monikę powierzyć uczciwym ludziom i oddać im także, takie moje zdanie, ową żelazną szkatułkę.“

— „I ja także jestem tego zdania, panie kapitanie, i ponieważ z poszukiwań moich wypada wnosić, że Monika musi się znajdować gdzieś między Rethy i Meerhout, postanowiłem udać się nazajutrz do Moll, i objechać wszystkie wsie i futory w okolicy.“

— „Bardzo dobrze! zrób tak, mój przyjacielu, a trudy twoje zostaną sowicie wynagrodzone. Mam jeszcze kilka dni wolnych, i sprobuję, czy nie będę mógł ci dopomódz w twych poszukiwaniach. Dziś wreszcie staniemy na noc w Lichtaert, a nazajutrz około południa zejdziemy się u sekretarza w Moll, by się porozumiéć z panem o dalsze kroki. Nieszczędź żadnych wydatków mój przyjacielu, najmij wygodny powóz, i nietrudź się bezpotrzebnie dla mnie. A więc do jutra, i oby Bóg pobłogosławił naszym zamiarom!“

Przy tych słowach powstał kapitan, uścisnął rękę sekretarzowi i powrócił do oberzy pod „Koroną“. W godzinę potém pędzili dwaj jeźdzcy galopem drogą ku Lichtaert.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

SZTYLET PUSTELNIKA.

(Z Biblioteki Nowostek.)

Tedy ani uprosić was, chcecie koniecznie w drogę? A więc szczęść Boże! moi panowie, lecz nie gardźcie mą radą: popędzajcie muły a unikajcie spotkania. Ale, ale, macie też broń?

My bezbronni; na co nam?

W Abruzach i bezbronni? jeszcze pod noc!... święta Maryo! czy wam głowa ciąży? Wiedźcie: bez głowy lekko, ale niepożytecznie. Moi panowie, pustelnika bogactwem jego modlitwa, gdziekolwiek będziecie, modły moje towarzyszyć wam będą, i oby wam zjednały ochronę pańską... lecz i sami bądźcie ostrożni.

I mówiąc to wyciągnął z-pod rękawa swéj włosiennicy orzechową skrzyneczkę, wręczył ją młodszemu z swoich gości, i zalecił jeszcze raz pośpiech i ostrożność.

Skrzyneczkę oddacie mi jutro! dodał żegnając ich krzyżem świętym, — z Bogiem moi panowie, chowajcie rozum w oku i w ręku pókiście w górach; i zamknął furtę swą pustelniczą.

Rzecz szczególna! przerwał po chwili Ernest milczenie, nie dość że błogosławił, jeszcze zaopatrzył nas w żywność na drogę. Zobaczmy też co w téj skrzyneczce? Dalibóg! ani

byś się spodziewał, Rożaniec! i do tego mentalik. Co widzę! pod spodem sztylet, a jaka robota! szczególne braterstwo! tu śmierć, tu nieśmiertelność; to narzędzie śmierci a to podwoda zbawieniu. O Włochy, Włochy, kraju sprzeczności i dziwactwa.

Młodzi towarzysze zaczęli oglądać zaraz co im do smaku, bo też osobliwością swoją mógł sztylet zająć każdego. Co za rękojeść! przylegała do dłoni jak rączka siostry abo kochanki, a robota cudna, rzeźby w miarę tyle ażeby się w ujęciu nie ześlizgała, a w okół gruba we trzech postaciach Wiara, Nadzieja i Miłość. Z rączki wybiegał sztylet, cokolwiek wprawdzie za duży, za to w ozdoby bogaty, i uświęcony imieniem Jezus i Marya w arabesku dwóch serc płonących w ogniu. Ale wkrótce znaleźli że co sztyletem sądzili, było właściwie pochwą; ruchomy złoty guziczek krył się przy krzyżu rączki, za pociśnieniem spadała pochwa a występował dopiéro właściwy kolec, giętki jak płomień, a nie grubszy jak czwarta część linii mierniczéj. I na nim jeszcze rylec misterny umiał wyrobić w odskok sceny męczeństwa Zbawiciela, wydać górę oliwną i zasiać drzewem, a drzewom w kształcie gałęzi podoprawiać na zawiaskach strzeliste kolce, które się rozłogiem rozchodziły i ciało rozszarpywały, gdy się sztylet z rany wyciągał.

Już widzieć coś podobnego mogło przerażać; spojźrzał jeden po drugim: źle bracie, wyrzekli jak zmówieni, źle tu gdzie ubogi nawet pustelnik zaopatrzyć się musi w coś podobnego. Lepiéj będzie szukać nam pod noc przytułku w jakim zakącie, niż się bez przewodnika zapuszczać w te góry osławione, gdzie ani drogi ani pomocy znikąd.

W tém zasłyszeli świst przenikliwy, i mimo odwagi gorąco im się zrobiło; spojźrzeli wkoło, wdali stał owczarz i nawoływał psa, który obces leciał na podróżnych.

Héj! przyjacielu, nie wiesz, gdzie by tu przenocować? Stanie łaska za uczynek, powiedz!

Przenocować? chyba tyle, bo tam nic nie dostanie. Ale idźcie tędy na prawo, między skałami stoi chatka, gdzie i ja z trzodą staję noclegiem. Bezpieczna, mury i drzwi są dobre, troszkę wilgotna to prawda, ale możecie rozłożyć ogień, byle nie wielki, bo pamiętajcie, że to by mogło na trop sprowadzić nieproszonych gości, a jutro kto wié, z czém byście poszli.

Wdzięczni za radę puścili się na prawo, i luboć jako młodź chciwi przygody, przytém odważni, wszelako postanowili słuchać przestróg i nie wyzywać lekkomyślnie niebezpieczeństwa, lecz się zachować roztropnie.

Istotnie znaleźli jak owczarz mówił, poddasze dogodne dla mułów, i dla siebie przytułek schludny ale przychłodny, więc rozniecili ogień, ażeby ogrzać się i izbę ocieplić. Opatrzywszy potém wszystkie kąty:

A prawdę mówił owczarz, odezwał się Ernest, chałupa bezpieczna, myślę, że jak podeprzemy jeszcze drzwi stołem, a na nim z nas jeden położy się, wytrzymać da się i oblężenie; drugi z nas przecie niech czuwa na ławce....

Dobra noc Erneście, sen mię morzy, dorzuć jeszcze drewek na komin. Da Bóg we dwóch jakoś nam pójdzie, mamy sztylet, rożaniec; za godzinę ja będę po tobie czuwać.

Z przyjacielskiéj wzajemności Ernest obejmuje straż piérwszy, chociaż i jemu lepły oczy, ale także własne niebezpieczeństwo każe być ostrożnym; i ażeby nie zasnąć przechadza się po izbie, przykłada po polanku na komin, znowu chodzi, by rozpędzić myśli i mrzonki senne, wreszcie otwiera skrzyneczkę, przesuwa paciorki, dobywa sztylet, ogląda, probuje na wiatr, potém niby do przyjaciela mierzy, ciekawy co by mu się w téj chwili śniło. I znowu przechadza się, cieniom się przypatruje, jak się łamią od ognia i odbijają na ścianie, podsłuchuje swoich myśli jak się toczą, plączą i rozwijają, gdy w tém zdał się zalatywać donośny świst owczarza.

Chwila nie minęła a nowe robi dostrzeżenie. Płomień na kominku zmienia kolor, rozdwaja się w prawo, w lewo, a za nim w ścianie odsłania się szeroka szpara za którą w blasku rozpoznać dawało się jakichś ludzi uzbrojonych w strzelbę, w pałki i inną broń, jedni w płaszczach z wiesidełkami od stroju, drudzy w łachmanach. Nie mały strach ogarnął Ernesta, wkrótce jeszcze większy gdy niespodzianie obok siebie poczuł owczarza; odskoczył na drugą stronę izby, i czego potąd nie widział, pokazały mu się na boku drugie drzwi otwarte, za niemi korytarz. Chciał wołać, ale nie mógł z ust i słowa wydusić, przestrach odjął władzę, a owczarz dał groźny znak, ażeby poszedł korytarzem za nim. Sam pojąć nie mógł jak się to stało, ale go wszystkie siły odbiegły, poniewolnie powlókł się za owczarzem, zeszli po schodach gdzieś pod jakieś sklepienie, potém popod galerye nad jakąś przepaścią, i znowu krętemi schodami w górę; tyle tylko miał przytomności, że przygotował sztylet i trzymał za pazuchą ukryty; doszli do jakiejś kraty, owczarz zapukał trzy razy, otworzono, — i ujźrzał się w sali mało co oświeconéj, a w dali tych samych ludzi których widział przez szparę; stali nad jakimś starcem uwiązanym do stołu.

Moi panowie! zawołał owczarz, przywodzę jeńca, ma złoto w trzosie.

A w ręku żelazo! wrzasnął z całéj siły Ernest; — Giń! i pchnął owczarza w piersi.

Okropny jęk obił się o uszy Ernesta. Nieszczęsny! rozespany przebił we śnie swego przyjaciela.

Nazajutrz o południu owczarz drzwi musiał wybijać, zastał dwóch bez duszy, jednego na stole, drugiego przed kominem, i karteczkę z krótkim opisem jak się stało.

TYBETANIE.

(Dokończenie. Ob. Nr. 2. Rozmaitości.)

Już sama wytworność ozdob dowodzi zdatności Tybetanów w rękodzielnictwie i sztukach; i w rzeczy samej snycerstwo kwitnie u nich, rznięcie kamey jest prześliczne, klejnoty w oprawach, i wyroby złotnictwa zaszczyt im przynoszą, i znaczny handel z Chinami utrzymują; ale z tém wszystkiém trudno ażeby się wzniósł tam przemysł wysoko, gdzie wieksza połowa ludności wyłącznie się poświęca życiu ascetycznemu, a druga zaś na nich pracować, i próżniaków z roli żywić musi. Handel też nie jest ożywionym tyle, jak by mógł być, i oprócz wyrobów złotnictwa, i grubych wełnianych materyi, ida do Chin same surowe produkta, piasek złoty, kamienie drogie, bezoar, asa foetida, piżmo, skóry surowe, futra, a w zamian odbierają materye jedwabne, herbatę, porcelanę, tytuń, instrumenta muzyczne i kruszce. Wzmógłby się pewnie handel, gdyby się zetknął z Dekanem gdzie Anglicy siedzą; ale rząd tybetański stroni od Anglików.

Rzady zaś sprawują obecnie w Tybecie dwaj wielcy ministrowie, „Ta-czin", siedziba ich w H'lassie, stolicy Tybetu, rządzą wspólnie i wzajemnie się kontrolują. Dalay-Lama w H'lassie jest pierwsze dostojeństwo, głowa całego państwa i najwyższa godność w hierarchyi tybetańskiéj. Skład rządu ich właściwy mało jest w Europie znany, wiedzą tylko że przeważnie jest duchowny, jakoż i wychowanie w naukach pobierają ci tylko, którzy się do stanu duchownego sposobią; ale pisać i rachować umieją także kobiety, szczególnie jeźli się handlem trudnią. Pismo ma alfabet, i idzie od prawéj ręki ku lewéj; lecz są dwa gatunki pisma, jedno „*Uchen*" czyli książkowe, drugie „*Umin*" czyli pobieżne w pospolitém pisaniu. Literatura najbogatsza w dzieła teologiczne, i być może że jest czysto krajowa, gdyż inne dzieła świeckie przejęte są z Chin po największéj części, równie jak tyle innych rzeczy, naprzykład: podział czasu, sposób liczenia, chronologie, nawet i sądownictwo poniekąd. Celują zasię Tybetanie przed Chinami w muzyce; pilnie jéj uczą się księża, bo bez niéj żadna uroczystość się nie obejdzie.

Takie same uroczystości jak po świątyniach, obchodzą potém mieszkańce po domach u siebie, z przydaniem tańców kiedy zabawa ma iść dla własnéj rozrywki, zaś innych obrzędów kiedy igrzyska sprawiają ku pamięci zmarłych albo na cześć kogoś z żyjących. Rozrywką osobistą jest u nich strzelanie z łuku, a w zgromadzeniu biesiadném lubią się napić coś gorącego, nawet i opium zażyć, luboć przyznać im trzeba że się brzydzą pijaństwem, i żucie opium jak w sasiedzkim Assamie wcale nie jest w zwyczaju. Za to też w ogóle Tybetanie są zdrowsi, i choroby prócz jednéj Siphilli, zwykle nie z ich własnéj winy, ale pod wpływem atmosfery się rozwijają, jak np. rumatyzmy, wodna puchlina, ospa i t. p. Ale nieszczęśliwy ten dwakroć kto zaraźliwéj słabości popadnie, nietylko że cierpi, ale i ratunku od swoich niema, opuszczają go wszyscy, i ginąć musi, skazany na śmierć z głodu. Są wprawdzie lekarze tak zwani dla tego, że lekarstwa z Chin sprowadzają, lecz i tam jak-to bywa, kto z głodu nie umrze tego leki dobiją.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*